Ner 3. 1860. 15 Października.

NIEWIASTA.

O wychowaniu serca.

Gdybyście mieli wiarę, żebyście góry przenosili a nie mieli miłości, będziecie jako miedź brzęcząca.
Ś. Paweł.

Początkiem i końcem każdego wychowania powinno być wychowanie serca. Zaniedbanie pod względem umysłowego wykształcenia, zaniedbanie zewnętrzności w wystąpieniu towarzyskiem da się naprawić choćby w późniejszym wieku: serca jedynie zepsutego i zdziczałego nic poprawić nie może, ani nauka, ani polor, ani największa potęga rozwiniętego rozumu. Bo serce jest swiętem ogniskiem pierwszych popędów człowieka, serce jest krynicą złych i dobrych namiętności, serce jest potęgą, która umie rozkazać rozumowi i wszystkim siłom duszy, aby działały i pracowały dla niego...

Żadne racyonalne wychowanie niezastąpi wychowania serca. Racyonalne wychowanie uważa człowieka za gołą tabliczkę, na której to lub owo napisać; za wosk, który dowolnie palcami kształtować można. Tymczasem jest tam pod piątem żebrem u człowieka organ, który się rusza i tętni pierwej, nim rocyonalny wychowawca potrafi zastósować do umysłu swój system stopniowego rozwijania i kształcenia władz pojedynczych. Człowiek przynosi z sobą na świat iskrę Bożą, ale ta iskra nieznajduje się ani w rozumie samym, ani w fantazyi — ona się znajduje przedewszystkiem w najelastyczniejszej i najrozpręźliwszej sile duszy, w uczuciu, w sercu. Z uczucia, z serca przechodzi ona w stalsze, dosadniejsze formy wyobraźni i rozumu.

Serce i uczucie jest areną, gdzie najpierw występują do walki dwa wielkie pierwiastki świata, Boży i szatański, dodatny i ujemny, dobry i zły. Człowiek nierodzi się dobrym, człowiek rodzi się w zawieszeniu między oboma światami dobrego i złego, człowiek rodzi się pochopniejszy do złego: są to prawdy chrześciańskie, które święcie pamiętać należy. Wychowanie chrześciańskie to stateczne zwalczenie tego złego, to emancypowanie ciągłe iskry bożej z objęć złego.

Patrzmy na rozwój dziecięcia. Przedewszystkiem wpada nam w oczy jego pogrążenie w materyi, w cielesności. Władze duszy śpią, dziecię wegetuje. Potrzeba mu tego do rozwoju jego sił fizycznych. Skoro te doszły do pewnego stopnia doskonałości, trzeba je obudzić ze snu w materyi, trzeba w nim obudzić duchowny jego pierwiastek. Czynią to pieszczoty i starania rodziców. Bezmyślnie oko dziecięcia patrzy z zadziwieniem w miłosne spojrzenie schylonej nad kolebką rodzicielki, a pierwszy uśmiech na jego twarzy jest świętym zwiastunem wzajemnego porozumienia się dusz, pierwszym zadatkiem miłości wzajemnej. Dla tego to nie daremnie upierają się przyjaciele ludzkości, aby ten uśmiech pierwszy matka, a nie obca mamka ujrzała, aby dziecię na samym progu życia nie doznało przykrej walki przeniesienia swoich uczuć z karmiącej go niewiasty na tę, która tylko od czasu do czasu przychodzi zajrzeć na jego kolebkę.

Obcowanie ciągłe matki z dziecięciem jest konieczną wychowania potrzebą. Budząca się miłość dziecka, miłość słaba jeszcze, bo fizyczna, nie powinna się dwoić, nie powinna rozpierzchać się. Matka tylko potrafi wyhodować w dziecięciu iskrę bożą, świecącą w jego budzącem się uczuciu.

Dzieci długo są egoistami. Bo egoizm a materyalizm to jedno. Kochają tych, co o nich pamiętają, kochają z przywyknienia, z potrzeby. Pytaj zaczynającego paplać dziecięcia z przymileniem: kochasz mnie? Dziecię się zachmurzy na widok twej twarzy, choćbyś je pieścił najbardziej. Daj mu cukierek i zapytaj powtórnie: kochasz mnie. Kocham, odpowie. A dla czegóż kochasz? A bo mnie dałeś cukierek.

Drugim zatem wielkim krokiem w wykształceniu serca dziecięcego będzie kochanie za darmo; abstrakcya miłości od korzyści. Tego przejścia niepodobna wgwałcić dziecięciu uczeniem go mechanicznych pieszczót i sentymentów po których następują łakocie i cacka. Jest to bardzo zły środek, dziecię zaczyna handlować miłością. Otoczone staraniami i pieszczotami, czujące przytem opiekuńczą wyższość rodziców, dziecię samo przyjdzie do miłości abstrakcyjnej, miłości dla miłości. Na tem przygotowanem już polu, można siać obfite ziarno religijnych, narodowych i familijnych uczuć, ziarno, które wschodząc, powoli przygłuszy materyalizm i egoizm dziecięcia.

Jeden z najpierwszych i najsilniejszych instynktów dziecka, jest instynkt własności. Dziecię garnie wszystko do siebie i z niechęcią oddaje, co raz wzięło. Względem rówienników jest skąpem i nieużytem. Są to nieszlachetne pociągi materyalnej strony człowieka, które zwalczać należy moralnemi względami. Obudzenie litości w dziecięciu jest najsilniejszą dźwignią moralną. Pokażcie mu, ubranemu w piękne sukienki i jedzącemu łakocie, nędzarza okrytego łachmany. W pierwszej chwili będzie czuło rodzaj obrzydzenia — i dumy osobistej, dumy sukienkowej, może i strachu trochę, powie: Brzydki, niechcę go! Ale dopomódz tylko wyłonieniu się iskry Bożej, dopowiedzieć słów kilka, zastósowanych do jego pojęcia i wzruszających: a dziecię posmutnieje i chętnie podzieli się z nędzarzem. Tylko nienagradzać go za czyn dobry, niech w duszy jego obudzi się przeczucie szczęścia, z dobrego pochodzące czynu. Zwyciężyłaby inaczej materyalna natura, a litość stałaby się spekulacyą.

Dziecinne lata powinny być snem rajskim. Rodzice chrześciańscy powinni dokładać starania, aby je tem uczynić. Niech dziecię w około siebie widzi samą miłość, zgodę, szlachetność. Ani się spodziać, jak w woskową jego duszę wszystko się wgniata.

Przedewszystkiem chronić je od dumy i zarozumiałości osobistej, odsuwać mu na lata późniejsze tę smutną prawdę praktycznego życia, że ludzie nie są równi sobie, że miłością i względami trzeba prowadzić osobne, oględne gospodarstwo; jednemu mniej, drugiemu więcej serca okazywać. Niechaj dziecię nieznа innej hierarchii prócz rodzinnej. Smutna to rzecz widzieć ładnie ubraną dziecinę strojącą minkę i rozkazującym tonem przewo-

dzącą nad służącymi, smutniejsza jeżeli na biedniejsze rówienniki spoziera z pewnym rodzajem protekcyonalności. Najsmutniej, jeźli między rodzeństwo zakradnie się preferencya. Egoizm dziecięcy wybuja z łatwością w próżność i zarozumiałość, te poprowadzą do złośliwego przekomarzania się nad drugich, do ustawnego upatrywania ich niższości. Dziecię, jak każda słaba i nierozumna istota, garnie się do powag domowych, przed temi powagami lubi chełpić się z swemi przymioty i często grzeczność jego jest tylko brzydką emulacyą z bratem lub siostrą, faryzeizmem: Ja nie jestem taki, jak on! Dziwna rzecz, że się rodzice często cieszą z takiej grzeczności, przyjmują nawet dynuncyacye dzieci, niewiedząc, iż torują im drogę do podłości, serwilizmu i zupełnego moralnego upadku. Dla tego pochwały jednego dziecięcia na niekorzyść drugiego, są zawsze bardzo śliską i niebezpieczną rzeczą.

Wychowanie podług tego, cośmy powiedzieli, jest ciągłem wydobywaniem i rozdmuchywaniem iskry Bożej w dziecięciu, wytępianiem tych złych pociągów, które nadaje wrodzony każdemu egoizm i materyalizm. Takie wychowanie ma za cel, aby człowieka uczynić dobrym i szlachetnym: kto chce tylko szczęśliwego i roztropnego, niechaj dziecię inną prowadzi drogą.

Nienależy zatem opuszczać żadnej sposobności, która serce dziecięcia potrafi podnieść wyżej i na ton uroczystszy nastroić. Pokażcie mu gwieździste niebo, oswójcie go z burzą i grzmotem i mówcie wtedy o Bogu; zaprowadźcie do kościoła, aby z złożonemi rączęty przypatrywał się aniołom i świętym. Zwróćcie jego uwagę na piękną okolicę, na ruiny starego zamku, pokażcie mu nagrobki Wawelskie, kopce pod Obertynem. Nawet zabawom jego nadajcie pewien odcień uczucia, doprowadźcie go do tego, aby dla mamy zrobił ogródek, a tacie przywiózł gruszek na wózku. Kiedy mu przypaszecie szabelkę do boku, wpajajcie w niego ten animusz rycerski, który naszych dziadów uczynił wielkimi. Niech mu mama gra marsza wojennego a w jego sercu obudzi się ta krew, która grała w żyłach pradziada, pogromcy bisurmanów. Kiedy blaszanych żołnierzy ustawi na stole, niech wojsko, którem dowodzić będzie, idzie się bić za sprawę szlachetną, której dziecię niepojmie jeszcze; ale przeczuje. Bo im więcej duszy dziecięcej dasz szlachetnych przeczuć, tem więcej ztąd myśli niegdyś urośnie, tem więcej nagromadzi duchowego materyału, gotowego do walki z pociągami cielesnemi. Iskierka ducha może z łatwością przedzierżgnąć się w sługę ciała, ale ciało równiej łatwo przedzierżga się w sługę ducha. Gdy się to stanie, krew gorąca będzie służyć myślom i uczuciom szlachetnym, siła fizycznej organizacyi czynowi moralnemu. Wprzeciwnym razie, rozum, uczucie, fantazya staną się nędznemi fagasami materyalnych potrzeb. —2—

ANNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA POLSKA.

(Z wiadomościami o całej familii Zygmunta Starego.)

(Dalszy ciąg.)

W śród takich okoliczności Anna Jagiellonka oddalona od sióstr morzami i górami a od brata jego rozpacznym sposobem życia, wyrabiała w sobie coraz bardziej tę rezygnacyą chrześciańską, która w najprzykrzejszych stosunkach umie wszystko poświęcić Bogu a nie mając żadnej pretensyi do szczęścia ziemskiego osobistego, pragnie stać się dobroczynną dla bliźnich. Opuszczenie i zaniedbanie, sieroctwo niejako ciągłe, w którem od śmierci ojca swego zostawała, działało zbawiennie na rozwój jej szlachetnej duszy; złe przykłady, których świadkiem być musiała, pomogły tylko do utwierdzenia w niej grozy moralnej, poczucia godności osobistej. Im smutniej było Annie na świecie, tem chętniej uciekała się do modlitwy, do prawdziwie ascetycznego życia. To też Anna Jagiellonka jest prototypem cnót naszych pań dawnych, nabożeństwa, miłosierdzia, opiekuństwa nad biednemi i choremi. U jej skromnego panieńskiego dworu gromadziły się ubogie szlacheckie panienki, szukały przytułku przyciśnione nędzą i prześladowane kobiety, szukały pomocy klasztory i szpitale. Mamy dotąd kilka listów poczciwej królewnej w interesie panien respektowych i zaopatrzenia sług i pacholąt, a wyrażenia ich świadczą, jak dalece serce jej szlachetne przywiązywało się do podwładnych i szukało szczęścia w ich szczęściu. Podczas, gdy nieszczęśliwy Zygmunt August tracił bogate skarby swoje na nierząd i zbytek, królewna, w tymże samym Wileńskim zamku mieszkająca, acz często na najpotrzebniejszem jej zbywało, ostatkami przychodów swoich wspomagała garnącą się do niej nędzę. „Jesteśmy tu jałmużnikiem wielkim, mówi w liście do Krzysztofa Radziwiłła Sierotki, wymawiając się od przesyłki ofiar do Jeruzalem, dosyć czynić mamy i do tego przyszło, żeby było bardzo źle u nas, gdybyśmy się jakotako temi pieniędzmi włoskiemi nieratowali, do których nie sami interes mamy.“

A pomimo tego smutnego stanu kasy panieńskiej, królewna Anna potrafiła przez oszczędność i rządność własnym kosztem dokończyć budowy mostu na Wiśle pod Warszawą, i drugiego we Wilnie, potrafiła pamięć matki swej uczcić pięknym w Barze grobowcem.

Niepocieszoną była królewna Anna na widok upadku zupełnego brata. Skarga wspomina w kazaniu pogrzebowem, że wśród srogich przypadków ówczesnych, oczy jej od łez nie usychały. Jakoż biedę królewnej która w roku 1572 dla morowego powietrza z Wilna wyjechała, i tułając się z miejsca na miejsce wyprzedała wszystkie swoje kosztowności, że jej tylko jeden kubek złoty, sierotką od niej potem nazwany, pozostał, biedę tę, która do tego dochodziła stopnia, że nie było czem i kuchni opatrzyć; przypisać należy niezaszczytnemu sposobowi życia króla ku schyłkowi dni jego. Podczas, gdy królewna tułała się w biedzie z miejsca na miejsce: podkomorzy Mniszech z faworytami królewskimi wywozili skrzynie pełne złota z Knyszyna. A przecież, dobrze tych rzeczy świadoma królewna była pierwszą, która ostatkami goniąc pospieszyła do ciała zmarłego brata i swoim go kosztem z Knyszyna do Krakowa przywiozła: królewna Anna była pierwszą, która przez Jana Siemińskiego, kasztelana Zamojskiego prosiła zgromadzony sejm konwokacyjny w roku 1572, aby rzecz cała odpuszczoną była Mniszchom dla pamięci zmarłego króla.

Pamiętny w dziejach Polski rok 1572, jest oraz stanowczą chwilą w życiu Anny. Ciche to życie nabiera odtąd interesu publicznego, wiąże się z sprawami narodu i wpływa na nie. Zwróciły się oczy narodu i Europy na ostatnią gałązkę Jagiełłowego szczepu, pojęto jej znaczenie w kraju przywiązanym do krwi królów swoich, pojęto, że ona mogłaby skutecznie wolą swoją wpłynąć na obór przyszłego króla.

Jakoż dwór wiedeński, pożądliwem okiem patrząc na sąsiedną koronę, najpierwej odezwał się do sierocej królewny. Odwiedzili ją posłowie cesarscy i zostawili przy jej dworze Gastaldo margrabię di Cassano, który oddawna przy Zygmuncie Auguście zamieszkały, miał żywić sympatyą do spokrewnionego habsburskiego domu. — Nieuczna sztuk dyplomatycznych Anna widziała w tym

kroku prosty dowód współczucia familijnego, który jej był miłym i do wdzięczności ją zobowiązywał.

Tymczasem elekcya króla, w obec wygaśnięcia Jagiellonów przybierająca ogromne i nigdy niepraktykowane znaczenie, obudziła powszechny ruch w narodzie. Niebezpieczeństwa zewnętrzne i wewnętrzne były wielkie, kraj cały wrzał sporami religijnemi i politycznemi frakcyami panów: ale potężną wtedy jeszcze była siła, potężnem czucie ogólnego dobra patryotycznego; dzielne indywidualności trzymały sklepienie narodowego kościoła, i obiór pierwszy dokonał się chlubnie, rozumnie i zgodnie.

Liczne zjazdy poprzedziły sejm konwokacyjny. W miesiąc po śmierci królewskiej zjechało wielu panów z korony i Litwy do Knyszyna. Zastali tam ciało zmarłego króla i Annę. Postarano się o opatrzenie jej potrzeb, nie tak jednakże, jak tego jej stan wymagał, o co się potem gorzko żaliła w liście do panów rad małopolskich. Kraków opanował i zabezpieczył Mikołaj Firlej z Dąbrowicy, wojewoda tameczny, napełniwszy go stronniki swemi i rycerstwem. Był to naczelnik innowierców w Polsce, najsilniej w Małopolsce rozkrzewionych. W Glinianach na Rusi, w Kole, w Łowiczu odbyły się podobneż zjazdy szlachty i senatorów. Nareszcie zgromadził prymas Jakób Uchański rozpierzchnięte stronnictwa na zjeździe w Kaskach pod Warszawą.

Tam uchwalono dzień konwokacyjnego sejmu, poczyniono należyte kroki przeciw intrygom dwóch głównych pretendentów, francuzkiego i austryackiego dworu.

Królewna infantka, jak ją nazywano, bawiła w Łomży. Kręcili się na jej dworze wysłańcy cesarscy, a rezydował wspomniany Gastaldo. Obudziło to obawę trosklizwych i bojaźliwych o swoją wolność Polaków. Zjazd małopolski w Osieku wysłał z swojego grona Lubelskiego, Siennickiego i Żarnowskiego kasztelanów, aby zwrócili uwagę królewny na wyrastającą ku niej nieufność.

(*D. c. n.*)

Pieśń serbska.

Owce pasie czarnobrewa dziewa,
Pasie owce na wysokiej górze,
Dwóch pasterzy do niej tam przybywa:
Piotr, Mikołaj — chłopaki jak róże.
Piotr powiada: dla mnie ta dziewczyna!
A Mikołaj: dla mnie, nie dla ciebie;
A gdy sprzeczka o dziewczę się wszczyna,
Młode dziewcze rzekło im od siebie:
Pan Bóg z wami wy młodzi pasterze,
Obaj młodzi i mnie obaj drodzy,
Lecz dwóch jednej dziewczyny nie bierze,
Więc słuchajcie mnie pasterze młodzi!
Bieżcie do stóp malowanej góry,
I za ręce weźcie się, za białe,
A ja wyjdę na wysoką skałę,
Tam na skałę malowanej góry.
I znak chustką haftowaną zrobię.
Gdy znak chustką haftowaną zrobię,
Obaj ku mnie razem biedz zaczniecie,
A kto pierwszy stanie z was przy mecie,
Ten dziewczynę młodą weźmie sobie.
Drugi tylko chustkę mą dostanie.
A pasterze, słysząc jej gadanie,
Bieżą do stóp malowanej góry,
I za ręce biorą się, za białe;
Dziewczę bieży na wysoką skałę,
Tam na skałę malowanej góry,
I znak daje chustką podniesioną,
I pasterze do góry pobiegli.
Lecz Piotr biegnąc, umiera w pół drogi,
A Mikołaj dobiegł do niebogiej,
Lecz padł martwy na dziewczyny łono —
Smutne dziewcze: obaj chłopcy legli,
Obaj młodzi zginęli pasterze.
Więc nóż, biedna! Mikołajów bierze,
I przeszywa nim wzruszone łono,
Opuszczając matkę zasmuconą.

J. K. Turski.

Powieść czarodziejska.

Północ minęła. Pan młody wyrwał się z koła swoich przyjaciół i szybkiemi kroki wbiegł do eleganckiego pokoju swojej pani, która w słodkich i niebiańskich marzeniach z upragnieniem oczekiwała przybycia najdroższego męża. Wbiegłszy, ukląkł przed nią.

— Powstań! mówiła do klęczącego przed sobą— podając mu rękę.

— Niepodobna, odrzekł młody człowiek, jej białą rączkę do ust swych przykładając. Dozwól mi tu pozostać, nie wzbraniaj mi swojej ręki, bo obawiam się że znikniesz mi jako sen przelotny, że wszystko, wszystko było tylko złudzeniem. Mnie się zdaje, że jestem bohatyrem jakiejś czarodziejskiej powieści, któraby mnie w młodzieńczych latach niezawodnie zachwycała, zdaje mi się że czary znikną, że złudne szczęście pierzchnie, szydząc sobie z łatwowiernego zaślepieńca.

— Ależ upamiętaj się mój przyjacielu. Wczoraj byłam jeszcze wprawdzie biedną wdową Lorda Melvil, lecz dzisiaj jestem panią de la Tour, dzisiaj jestem twoją szczęśliwą małżonką. Porzuć te płonną trwogę twej duszy — co masz, wszystko jest rzeczywistością.

Fryderyk de la Tour mający lat 25 był bez majątku, nie miał przyjaciół ani krewnych — był samiuteńki w świecie — na utrzymanie zarabiał sobie ciężko u notaryusza. Nagle zaświtało mu niespodziewane szczęście. Od miesiąca czy zrządzeniem Opatrzności, czy ślepem szczęściem doszedł do mety, o której nigdy nie marzył. Nie dziw więc, że się mu wydawało, iż co ma, jest snem. Pewnego dnia, gdy przez ulicę St. Honoré przechodził, zatrzymała się jakaś kareta tuż przed nim i elegancka dama w niej siedząca zawołała na niego: „Panie“

Lokaj zeskoczył szybko, skłonił się przechodniowi i natrętną prośbą zmusił go niemal do wstąpienia w pojazd i zajęcia miejsca obok pięknej damy, lśniącej klejnotami i przepysznie strojnej. Nie wiedząc co się z nim dzieje, machinalnie prawie wszedł do powozu. — Konie pobiegły galopem.

Panie, mówiła dama łagodnym głosem, odebrałam list pański i spodziewam się, że mimo pańskiego odmówienia, mieć będę pana jutro u siebie na wieczorze.

— Mnie? Zapytał się Fryderyk.

— Tak jest, pana. Ach, po tysiąc razy proszę o przebaczenie; pan tak jesteś podobnym do jednego z moich

znajomych, żem się w osobie pomyliła. Co pan sobie o mnie pomyślił? Nie dziw się pan, nie sama jestem w błędzie, tak wielkie jest podobieństwo.

Nim jeszcze skończyła uniewinniać się, zatrzymał się pojazd w dziedzińcu pięknego hotelu, a Fryderyk naturalnie musiał nieznajomej podać ramię i prowadzić ją po wschodach. Ledy Melvil była z urodzenia francuzką, jej oblicze pięknością róż i lilii jaśniały wśród czarnych splotów warkoczy, a różowe usta zakrywały dwa pełne rzędy perłowych zębów. Takim wdziękom łatwo było opanować młodego człowieka, ceniącego już bardzo wysoko szczęście takiej znajomości. To też Fryderyk przyjąwszy jej zaproszenia był odtąd codziennym jej gościem. Młoda wdowa odprawiła natychmiast z kwitkiem cały a liczny orszak swych wielbicieli, przyjmując jedynie młodego ubogiego pisarczyka. Nie czekając jego oświadczeń sama nareszcie ofiarowała mu swoją rękę, przewidując, że Fryderyk czujący swe nizkie w obec niej stanowisko nigdyby się na coś podobnego nie odważył.

Fryderyk nie wiedział co się z nim działo. Często stawał przed zwierciadłem w swoim maleńkim pokoiku, długo i starannie pracując nad swoją powierzchownością. Niebył brzydkim, lecz niebył także zbyt pięknym; ubiór jego odpowiedni był zupełnie skromnym dochodom; musiał więc przypuszczać że Ledy Melvil pokochała go dla niego samego, albo że się zawiodła we własnych swoich uczuciach. Jakżeż wielkiem było zdziwienie jego gdy mu po ślubie ogłoszono, że jest panem miliona franków. Według kontraktów był właścicielem włości w Burgundyi, lasu w Normandyi, domu w Paryżu na ulicy St. Honoré i panem ogromnego majątku, jakiego ani wyobrażać sobie, ani przeczuwać nie mógł. Wdowa posiadała dobra w Anglii. Nikt wątpić zapewne niebędzie, że skromny młody pisarczyk, całemu temu szczęściu, które tak niespodziewanie na niego spadło, niedowierzał, i że z trwogą przemyśliwał nad tem, czy jedna chwila nie zburzy mu snów jego złotych. Wszystko odbyło się prawnie według wszelkich przepisów lecz ani godność kościoła, ani powaga prawa nie zdołały osłabić jego podejrzeń i dla tego też lękał się wypuścić z rąk swoich ręki najdroższej małżonki, bojąc się aby z jéj usunięciem, całe szczęście odeń się nie usunęło.

— Powstań drogi Fryderyku, powtórzyła młoda żonka przysuń sobie stołek, usiądź i będziemy rozmawiać.

Młody mąż usłuchał, a Pani de la Tour zaczęła tak mówić:

— Pewnego razu —

— Aha! przerwał jéj na te słowa Fryderyk, nie powiedziałem że teraz się jakaś czarodziejska powieść wykryje.

— Posłuchaj, drogi przyjacielu. Pewnego razu żyła młoda dziewczynka, której rodzice niegdyś będąc zamożnemi, później z pracy rąk utrzymywać się musieli. W nadziei odzyskania utraconego majątku, opuścili rodzinne miasto Lijon, i przenieśli się do Paryża. Lecz nie masz nic trudniejszego jak utracony majątek odzyskać i do zgasłej świetności powrócić. Pokazało się to na ojcu młodej dziewczynki, który po czteroletnich trudach i zabiegach nadaremnych, umarł nareszcie w szpitalu. Za nim wkrótce poszła i matka, a biedne dziewcze zostało samo na poddaszu za który nawet czynszu nie zapłacili mu rodzice. Gdyby w tej powieści którą ci opowiadam występowały jakie czarodziejstwa, toby powinny niezawodnie teraz się pojawić. Lecz nie było tam żadnych czarów. Biedna dziewczyna została bez opieki, bez przyjaciół, bez środków do utrzymania życia — obciążona nawet długami, których spłacenia nie mogła mieć nadziei. Napróżno dopraszała się u ludzi o robotę, ta jedyna ucieczka biednych była dla niej bezskuteczną. Znosiła dole swoją z pokorą, a cnota była jej tarczą obronną przed pociskami pokus świata. Ależ potrzeba jej było żyć! Głód po dwóch dniach cierpliwości, dokuczył nad siły — Fryderyku! chociażeś dopiero od kilku dni bogatym, nie możesz sobie jej cierpienia wyobrazić. Dziwisz się jak mogę wśród takiego przepychu malować tak ci straszliwy obraz nędzy? Lecz słuchaj dalej. Głód przymusił biedne dziewcze do żebrania o jałmużnę. Zakryła biedaczka głowę chustką, jedyną spuścizną po matce, pochyliła wysmukłą swą postać ku ziemi, naśladując zgrzybiałą staruszkę, wyszła na ulicę i wyciągnęła rękę po jałmużnę. Ah! ta ręka była białą i delikatną — z trwogą więc owinęła ją w chustkę, pokrywając nibyto jakąś ranę. Oparła się na kamieniu, na rogu ulicy leżącym opodal od latarni, i prosiła jakiejś młodej dziewczynki przechodzącej o jeden *sou* — tylko o jeden *sou*, aby choć kawałek chleba zań kupić. Lecz młode dziewczęta w Paryżu mają o czem innem myśleć, nie o niedostatku ubogich. Prośba sieroty nie została też wysłuchaną. Wtem przechodził jakiś stary człowiek, żebraczka wyciągnęła do niego rękę. Lecz starość jest często skąpą i zimną — i starzec przeszedł obojętnie. Wieczór był zimny i dżdżysty, noc zbliżała się, a z nią nadeszła straż policyjna, dla czuwania po ulicach. Wtedy dziewczynka już na pół omdlała odważyła się jeszcze raz przemówić do litości. Przechodził młody mężczyzna; do tego się zwróciła. Na głos jéj prośby mężczyzna się zatrzymał, wyjął jakiś pieniądz z kieszeni i rzucił go żebraczce szybko i oględnie jakby się obawiał zbliżyć do takiej nędzy. Stróż przypatrujący się tej scenie, nadbiegł natychmiast, szarpnął dziewczynkę za rękę i zawołał:

„Chwyciłem cię na żebraninie musisz iść do aresztu.“

Wtedy zbliżył się szybko ów młody człowiek wziął żebraczkę za rękę, której przed chwilą bał się dotknąć przez rękawiczkę, i zwracając się do stróża, mówił:

— Ta pani nie jest żebraczką, jestto moja znajoma.

— Ależ mój panie, żebrać nie wolno.

— Powtarzam ci: ta pani nie jest żebraczką, znam ją. Dobra pani, szepnął ciszej do ucha dziewczynie, którą miał za starą kobietę, weź te pięć franków i dozwól się do najbliższéj ulicy odprowadzić, aby cię ten człowiek nie napastował.

Tak znakomita dla mnie summa pieniędzy w sunęła się *z jego ręki w moję*, mówiła dalej pani de la Tour, a gdyśmy koło latarni przechodzili, którą wprzód ze strachem mijałam, ujrzałam *ciebie*.

— Mnie? zawołał Fryderyk.

— Tak, mój przyjacielu. Widziałam rysy twoje po raz pierwszy, ugdym ich jednak nie zapomniała, bo one ocaliły mi życie, może honor. One wtedy wdziały koronę na skroń Ledy Melvil, dzisiejszą twoją małżonkę.

— Ty tak młoda, tak piękna, tak bogata, być że to może — abyś ty kiedy o jałmużnę prosiła?

— Tak — ja przyjęłam jałmuznę, lecz tylko *raz jeden* w życiu — i tylko od *ciebie*.

Nazajutrz, po owym smutnym wieczorze, który dziś najszczęśliwszym nazywam, dostałam u jednéj przychylnej pani miejsce szwaczki w porządnym domu; i w krótkim czasie zostałam przyjaciołką téj godnej pani którą wyręczałam. Pewnego dnia przyszedł lord Melvil, do mego pokoiku, gdziem szyła, i usiadł przy mnie, Miał lat blisko 60, był wysokim wysmukłym poważnego i smutnego wejrzenia.

— Panno — rzekł do mnie, ja znam twoją historyę. Zostałabyś ty moją żoną?

— Żoną — Pana? zawołałam.

— Tak! mam znakomity majątek, którego bym nie

chciał zostawić moim siostrzeńcom, cierpię trochę na podagrę i nie chciałbym liczyć na troskliwość mych sług. Jeżeli to prawda com słyszał o tobie, to masz charakter prawy, i od twej decyzyi zależeć tylko będzie, czy zechcesz zostać Ledy Melvil, i okazać że opływając we wszystko tak żyć potrafisz jak i w niedostatku.

— Ja cię kochałam Fryderyku, choćem cię tylko raz widziała, mówiła młoda mężatka dalej. — Nie mogłam Cię zapomnąć nigdy; — głos w mem sercu szeptał mi ciągle, że drogi naszego życia zejdą się jeszcze ze sobą. Spojrzałam na lorda, na jego poważną twarz, w przenikliwe śklące się oczy — i myślałam że ten krok uczynił przez zemstę — obierając mię za narzędzie swoich skrytych planów. Lord Melvil dostrzegł moje wzruszenie, moją obawę i przez to był jeszcze natarczywszym w swojem postanowieniu. Znajomi moi radzili mi korzystać ze *splinu* starego Anglika, który miał kilka milionów franków majątku, z czego choćby część, zawsze jednak znaczną musiałby mi zapisać. Lecz ja myślałam o *tobie* i poświęciłabym z chęcią, wszystkie nastręczające mi się skarby, za miłość tego, którego tylko raz widziałam. Lecz szkoła próby sił moich była za poważną, aby w niej marzenie romantyczne nad rozumem odniosło zwycięztwo. Wypędziłam cię z myśli moich, i zostałam Ledy Melvil. To była powieść czarodziejska, mój przyjacielu — ja, biedna opuszczona sierota — byłam żoną jednego z najbogatszych lordów Anglii. W pysznym ekwipażu, sutą świtą otoczona, przejeżdżałam przez tę ulicę — na której przed kilku miesiącami o jałmużnę prosiłam — i okryta w jedwabie i dyamenty, mogłam patrzeć się w to miejsce, gdziem z nędzy i głodu umierała. O! jakżeż dziwne są kaprysy szczęścia! Namiętności ludzkie, mój drogi, oto są cudowne czary naszego świata.

— Szczęśliwy lord Melvil, powiedział Fryderyk, był w stanie cię wzbogacić.

— Rzeczywiście był szczęśliwym, mówiła dalej pani de la Tour, i sam mi się przyznawał, że to małżeństwo, które wielu z jego przyjaciół głupstwem nazywało, było rozsądnym czynem jego życia. Mąż mój był bogatym nad wszelkie me oczekiwania, nieubiegał się już o pomnożenie swych skarbów, lecz słusznie zauważył, że wdzięczność może pozyskać serce kobiety, której się szczęścia pragnie, i nigdy nie żałował tego, że się z francuzką ożenił.

— Pielęgnowałam go w ostatniej jego chorobie i umarł błogosławiąc mnie, i zostawiając mi cały majątek. Natenczas zrobiłam sobie ślub, że tylko wtedy powtórnie pójdę za mąż, jeżeli znajdę człowieka, który się w najsmutniejszej godzinie życia mego ujął za mną; inaczej nigdy. Niewdzięczny, mówiła dalej pani de la Tour na wpół żartem, mężowi rękę podając, czemuż nie wyszukałeś tej, która cię tak serdecznie kochała, i tak gorąco pragnęła wzbogacić cię i uszczęśliwić? Czemuż cię nigdzię znaleść nie mogłam? Ani w teatrze, ani na koncertach? Gdybym choć znała twe nazwisko! To mowiąc zdjęła ze szyi kolię rubinową i wyjęła z przywiązanego do niej jedwabnego woreczka w złoto oprawny pieniądz.

— Oto pieniądz, który mi dałeś za jałmużnę, mówiła, podając go Fryderykowi.

— Na niego pożyczyłam sobie tyle chleba, aby głód pierwszy zaspokoić, a nazajutrz mogłam go znów wykupić na zawsze, i na najdroższą serca zachować pamiątkę. Jakżeż byłam szczęśliwą ujrzawszy cię nareszcie na ulicy! Chwyciłam się pierwszego lepszego pozoru, aby cię do mego boku przywołać. Jednę tylko jeszcze miałam obawę. Mogłeś być żonatym. Wtedy niedowiedziałbyś się tej historyi. Ledy Melvil odwdzięczyłaby ci się tajemną drogą, jakąś tylko cząstką ofiary ze swego majątku, powróciłaby do Anglii, i możeby w samotności w rodzinnym swym zamku, resztę dni swych w smutku zakończyła.

— Fryderyk porwał za pieniądz, przyczynę swego zagadkowego szczęścia, i przyciskając rękę swej małżonki do ust swoich zawołał:

— Powieść twoja jest rzeczywiście czarodziejska. Oto właśnie z rąk dobroczynnej czarodziejki, otrzymałem talizman, który mię uniósł do czarownego stanu najwyższego szczęścia na ziemi. ⊙

Kilka słów bacznego czytelnika

Nie-Van-Dyka, portretów.

Już to się mogę przed państwem pochwalić, że czytuję bardzo pilnie i uważnie wszystkie pisma czasowe z Galicyi, z Królestwa i z Krakowa. Nie pisuję do żadnych gazet recenzyj ani krytyk, bo się obawiam, żeby mię nie wyśmiano za nie położony w jakim sensie należyty znak pisarski. Otóż nie pisuję, ale rozmawiam z wieloma o tem i o owem, i mogę sobie sam to przyznać, że mi już wielu przyznało i trafny sąd o rzeczach i zręczną krytykę, a nadewszystko: bezstronność. Od niejakiego czasu niezmiernie mię zajmują artykuły pewnego pana Nie-Van-Dyka, umieszczane jako portrety ludzi różnego wieku i stanu w Dzienniku literackim. — Rzeczzwiście! Portrety i nie co innego, pisze ten pan Nie-Van-Dyk. Nie przechodząc granicy prawdy i życia, maluje wszystko tak żywo, że aż się miło robi człowiekowi. Ale to nie mnie pisać o tem recenzyą, niech sobie kto inny łamie nad tem głowę; a warto! o! niezawodnie warto. Ja bo sobie postanowiłem po przeczytaniu artykułu pod tytułem „Piękne panie i panienki“ koniecznie pokusić się o zestawienie kilku słówek tak, aby z nich był potrzebny sens, i zabrałem się do rzeczy, a co mię skłoniło do tego — posłuchajcie.

Jestem w gronie ślicznego wianuszka panienek, i trzymam w ręku wspomniony artykuł pana Nie-Van Dyka.

— Mam tu coś bardzo ciekawego dla pań, rzekłem zbliżając się do grona tych ładnych dziewcząt.

Obskoczyły mię do koła, bo znając mię, w czem sobie muszę oddać sprawiedliwość, wiedzą, że czasem uda mi się powiedzieć coś rozweselającego i dowcipnego.

Najstarsza przybliżyła się do mnie, pytając się: „A co? czy szarada jaka? wierszyk zabawny i wesoły?

— O nie! moje panie, odrzekłem z powagą, tym razem mam tylko dla was prawdę, i to prawdę najświętszą.

— Ha! ha! ha! rozśmiały się dziewczątka, jak gdyby wierzyły w moje czary, które nie dozwalają nikomu i nigdy przemawiać do nich prawdą.

— Tak, tak. O! I tu wyjąłem dziennik z kieszeni i przeczytałem: Portrety pięknych pań i panienek.

— Pewno jakie kazanie, rzekła panna Jadwiga, sawantka, jakich rzadko.

— Raczą panie posłuchać — przeczytam; a jeżli na której twarzyczce zabłyśnie rumieniec to nie będzie nikomu krzywdy.

— Więc posłuchamy zawołały moje towarzyszki, i zająwszy miejsce na ustawionych w około mnie stołkach, z uwagą słuchały.

— Czytałem więc i mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, czytałem z uczuciem prawdziwem. Podczas czytania robiłem przestanki i badałem zmian w pięknych

twarzyczkach słuchaczek. Gdym przeczytał słowa rzeczonego artykułu: *bez wątpienia stoicie najwyżej między kobietami europejskiemi,* dostrzegłem na wszystkich buziaczkach wyraz zadowolenia i tej niegrzeszącej dumy, którą nam wolno się szczycić, gdy z nią rodzi się uczucie wdzięczności ku Bogu, za naszej duszy przymioty i zalety, za które nie my—lecz Bóg sam odbiera cześć od świata. Ucieszyłem się razem z niemi i czytałem dalej. W miejscu gdzie pan Nie-Van-Dyk mówi: *odbieracie i dajecie najpierw bardzo powierzchowne i zaniedbane wychowanie, wychowanie bez grozy moralnej, i bez głębokich uczuć narodowych,* zatrzymałem się znowu dłużej. Panna Jadwiga przerwała mi bowiem sama mówiąc: Jakto-my? To się odnosi tylko do uboższych panienek, których rodzice nie mogą łożyć na ich edukacyą, które nie chodzą na pensyą, nie mają w domu bon i guwernantek—to powinien był autor uwzględnić.

— Za pozwoleniem, rzekłem na to; panna Jadwiga się myli. Nie chodzi tu wcale o uboższe lub bogatsze panienki, ale chodzi o to, że wszędzie dzisiaj wychowanie wasze jest powierzchownem. Chodzi właśnie o to, że to przekonanie w was będące, iż mając naprzód bonę, potem guwernantkę, a w końcu będąc na tej lub owej pensyi, jesteście najpewniejsze, że wam nad sobą nic pracować nie trzeba. Gniewacie się o to, gdy wam kto w takim razie powie, że wasze wychowanie powierzchownem tylko było, i każdy zarzut do was wystósowany, nazywacie impertynencyą. A tu właśnie o to chodzi najwięcej, byście się tej zarozumiałości wyrzekły, byście rady zdrowe, ot takie, jakie wam ludzie dobrej woli podają, do serca przyjmowały, żebyście już w to uwierzyły, *że wielkiej liczbie z was bardzo wiele brakuje.* Bo skoro to poznacie, poprawicie się.

A nie zważając na wrażenie tych słów, czytałem dalej.

— *Panny myślą o pieniądzach,* powtórzyłem. Cóż panie na to?

— To bajka, rzekła jedna.

— Ja nigdy nie myślę, rzekła druga.

— Już co to, to nie prawda, mówiła trzecia.

— O to niegodziwie tak o nas pisać, mówiła czwarta, a piąta dodała

— Powiada, że nie jest poetą, a tak kłamie.

I różnie a różnie odpowiadały mi na to moje recenzentki, a żadna nie przyznała się do winy. Ba! bo mi się też i zachciało za dużo: żądać uznania własnej winy panienek! Myślałem, że Pan Bóg poprawił już serca. Ale widać nie tak to łatwo idzie! Czytałem dalej.

Gdym przeszedł historyę *o panu C, młodym i szlachetnym człowieku, patryotycznym, chociaż może trochę zapaleńcu,* który musiał ustąpić kochanej przez siebie istoty jakiemuś niegodziwemu p. baronowi B. dla tego tylko, że pan baron miał o wiele więcej pieniędzy od p. C. gdy autor powiedział, że po ślubie pani baronowa opływająca w dostatki nudziła się najokropniej, znowu pierwsza panna Jadwiga zawołała:

— O już jabym się pewno nie nudziła, ale widać że ta jakaś pani baronowa, nie umiała sobie poradzić z mężem.

— Może miała nóżkę maleńką, szepła panna Zofia, blondynka, ładniutka, ale bardzo dumna i obiecująca mężowi śliczny pantofelek podarować po ślubie.

— Najniezawodniej, mówiła panna Jadwiga — jużbyśmy sobie dały rady obie, prawda Zosiu. Tu coś do uszka dokończyła pannie Zofii.

— Jabym nie jeździła za granicę, alebym się tak umiała bawić z sąsiadkami, żebym nigdy nie potrzebowała się skarżyć na nudy, (słowa panny Jadwigi). Musiałabym mieć piękny pałacyk, piękne mebelki, o jej! zobaczylibyście państwo, jakby to było pięknie.

Czytałem dalej. Przyszło do literatury. Autor portretów powiada, że pań literatura nie obchodzi.

— Literatura?! Zawołało kilka głosów razem; jedna zaś mówiła — jakto literatura i sztuki nas nie obchodzą!! A! przyznam się panu, że to już herezya. Czyż to dziś mało mamy uczonych kobiet, mało poetek, powieściarek, malarek — A! To się nie godzi.

— Tak, tak, mówiłem, zrażony takiem przyjęciem prawdy przez panienki, chowając mój dziennik do kieszeni, — prawda, prawda, panie się zajmują literaturą, ale tylko o tyle, o ile zabawić się nią chcecie.

Piękność w książce podoba się wam, jak piękna zabawka dziecięciu, ale nią nie przejmujecie się do duszy; nie uszlachetniacie serca, i nie kochacie ją miłością czystą sztuki. Bawicie się tylko, a uczyć się wam nie chce. Z ojczystych dziejów nie znacie najważniejszych rzeczy, a książki pisane wyłącznie dla was, leżą obok zdartego od czytania romansu, z nieporozcinanemi kartkami. Macie dobre serduszka, dla tego też was szkoda, i dla tego tyle do was się gada i dla was się pisze.

Ale żal się Boże, wszystkiego — podobnoć to groch na ścianę się rzuca.

Jeszczem nie skończył, a panienki zaczęły szemrać po cichu między sobą — co widząc przestawszy mówić, odszedłem od nich, pokłoniłem się i pomyślilem w duchu: jeżeli tak wszędzie prawda i moralność przyjmuje się w sercach tych, dla których się ją podaje — o! jakże mi was żal, drodzy panowie redaktorowie i pisarze! Trudy wasze nagrodzonemi nie będą. A świat zostanie takim, jakim był wczoraj — i kto wie czy się nie odsunie jeszcze dalej to słońce poprawy naszej, którego zaranie, wiarą i nadzieją wmawiamy dzisiaj w siebie.

Bonifacy.

OBRAZKI PARYSKIE.

II.

W Paryżu jest obecnie dwadzieścia siedm teatrów, a wszystkie mają się doskonale pod względem finansowym; więc o dwa teatra więcej niż w Londynie, chociaż to ostatnie miasto liczy o milion więcej mieszkańców.

Ta statystyczna uwaga, dowodzi daleko jaśniej, niż wszystkie filozoficzne i logiczne rozprawy, że żadnego, na całej kuli ziemskiej miasta mieszkańcy nie mają większego zamiłowania w przedstawieniach teatralnych, jak Paryżanie. Można nawet śmiało twierdzić, że ich uczęszczanie do teatru, nie pochodzi z samego zamiłowania do przedstawień scenicznych, ale że się już stało dla nich despotyczną modą, zabawą, bez której się obejść nie mogą.

Bogate rodziny mieszkające na arystokratycznem przedmieściu S. Germain, mają sobie za obowiązek trzymać lożę w włoskiej operze; ich imiona muszą figurować na spisie abonentów, który przedrukowują wszystkie dzienniki teatralne, na początku każdej sezony. A dla czegóż to się dzieje? Oto z tej pojedyńczej przyczyny, z której i my wszyscy, idąc na przyzwoity bal, musimy koniecznie mieć na rękach białe glansowane rękawiczki.

Loża w operze włoskiej, należy do tysiąca drogich i despotycznych rzeczy modnych, u paryskiej arystokracyi.

Modnisie, którzy w zimie i jesieni od godziny czwartej do szóstej popołudniu zalegają najpiękniejsze bulwary, przechadzając się tam i napowrót, kreśląc eleganckiemi laseczkami w powietrzu koła, krzywe i proste linie i Bóg raczy wiedzieć jakie jeszcze geometryczne figury; którzy każdego przechodnia muszą obejrzeć od stóp do głowy, wszystko skrytykować — o niczem nie mając najmniejszego wyobrażenia; których przedmiotami rozmowy są: konie, loretki, polowanie i teatr; teatr, polowanie, loretki i konie; ci paryscy eleganccy szlifobruki mają sobie za najświętszy obowiązek, być na pierwszem przedstawieniu każdej nowej sztuki. — A dla czego? — Bo tego wymagają: dobry ton i moda.

Gdy większą część sali teatralnej zabiorą

dziennikarze i recenzenci, a przytem nowość tak silnie każdego ciągnie i nęci — nic dziwnego, że o miejsce w takim razie bardzo trudno. Cóż to za szczęście należeć do wybranych, otrzymać bilet i być podziwianym od reszty świata.

Aby zaś wzbudzić ten podziw, modniś nie szczędzi ni pieniędzy ni trudu. On chce śmiało każdemu w oczy powiedzieć:

— Byłem na pierwszem przedstawieniu tej lub owej nowej sztuki.

Czy przedstawienie dobrze lub źle wypadło, czy zrozumiał osnowę sztuki, o to mu wcale nie chodzi.

Jeszcze dotąd utrzymuje się przy tych pierwszych przedstawieniach dziwny obyczaj.

Na afiszu stoi, naturalnie wielkiemi czcionkami wydrukowane:

Po raz pierwszy!

Tytuł mającego się przedstawić utworu scenicznego i nazwiska aktorów. Nazwiska autora nie znajdziesz.

A chociaż go wszyscy doskonale znają, gdyż nie dyskretne dzienniki, wytrąbiły go już przed trzema miesiącami, to przecież każdy chce w siebie wmówić, że go nie zna. A gdy egzekucyą kary za zbrodnię lub nagrodę za cnotę, kurtyna zasłoni, natenczas z kilku setek gardeł najętych klakerów, wydobywa się przeraźliwy krzyk:

— Autor! Chcemy autora widzieć. — Niech nam się pokaże.

Kurtyna podnosi się powoli. Z środkowych drzwi wychodzi aktor, który tego wieczora przedstawiał główną rolę, kłania się z wielką gracyą na wszystkie strony, i mówi poważnym głosem:

— Szanowni panowie i panie. Autorem sztuki, którąśmy mieli szczęście grać dzisiaj przed waszem obliczem jest pan . . . . . . I wymawia wszystkim dobrze znane nazwisko. Wszystkich usta otwierają się, i wydobywa się z nich przeciągłe, zadziwienie Aaaaa!... Klakery krzyczą brawo; panowie pochwytują kapelusze a panie mantylki i lorynetki, a w kilka minut zalega głucha cisza muz świątynię.

Takiem jest uczęszczanie do teatru w Paryżu, takie tam moda przepisuje.

W Paryżu każdy dobrze zbudowany mężczyzna bez kłopotu dostanie ubioru balowego — a kto go ma, to ma wstęp do każdego przyzwoitego domu.

Pani X. daje bal. Bez poprzedniego zameldowania wprowadza mnie mój przyjaciel do jasno oświeconego salonu. Naokoło na kanapach i krzesłach rozsadowiły się ogromnych rozmiarów krynoliny w balowych sukniach mocno — o bardzo mocno wykrojonych, jakich nigdy przedtem nie widziałem i prawdopodobnie później widzieć nie będę. Mój przyjaciel przedstawił mię pani domu.

Gospodyni uśmiecha się miluchno i powtarza odwracając się do przyjaciela, stereotypową formułkę, którą już tego samego wieczora ze sto razy powtarzała:

— Czy to ten pan o którym mówiłeś mi tyle razy?

— Tak jest — odpowiada mój przyjaciel!

Gospodyni obsypuje mię grzecznościami; ja wypłacam się tą samą monetą. Nowo przybyli goście przerywają tak przyjemną rozmowę.

W salonie zabierają się do tańca; więc i ja staję do kadrylla z jakąś panią, której wcale nie znam. Póki się tańczy to jeszcze pół biedy, ale jak tu wypełnić czas, w którym drugie pary tę samą figurę powtarzają. Moja tancerka stoi przy mnie i oczekuje zaczęcia rozmowy.

Lecz każdy początek jest trudny. Czyż mam odnawiać przedpotopowe uwagi o toalecie, sali, orkiestrze, posadzce? Nie! na żaden sposób. Toby tak samo wyglądało jak przedstawienie się jakiemu sławnemu mężowi, którego znajomości się szuka, — starą oklepaną formułką: a dzisiaj mamy śliczną pogodę. I kosztem drugich w takim wypadku bawić się nie można. Któż wie czy ta sucha koścista sybilla, którą wybrałbym sobie za przedmiot żarcików, nie jest matką mojej donny; ów łysy schorzały, młody starzec, przyszłym jej mężem.

Rozprawa o botanice lub chińskiem jedwabnictwie bawić jej nie będzie.

„W tem wpada promień nadziei w noc myśli“

— Czy byłaś pani na pierwszem przedstawieniu nowej sztuki Oktawiusza Feuilleta?

Odpowiedź jest mi obojętną. Jeżeli była na przedstawieniu, zgadzam się zupełnie z jej zdaniem. Jeżeli zaś nie, natenczas wychwalam przepych wystawy, dekoracyi, gry i t. d. Z jednej sceny skaczę na drugą, i oto wątek rozmowy się znalazł.

Śmiało nawet twierdzę, że teatr, koncerta i wszystko co do tego należy, jedynie mogą tworzyć wątek rozmowy, między mężczyzną i panną nawzajem sobie nieznanymi.

Teraz proszę łaskawego czytelnika zniżyć się razem ze mną o kilka szczebli towarzystwa.

Między Porte St. Denis a placem Bastillii znajduje się 10-12 teatrów, przedstawiających najczęściej okropne dramata i tragedye, któreby i największemu śmiałkowi włosy na głowie zjeżyły.

Rzemieślnik po całodziennej pracy, myje się i ubiera pod wieczór, i z myślą zabawienia się wychodzi z domu. Ale gdzież znajdzie więcej zabawy, jeżeli nie na dramacie, gdzie się do sytu napatrzy i na niestałość małżeńską i krzywoprzysięstwo, na mordy, i tym podobne okropności. To go tyle zachwyca, że siedziałby całe życie w teatrze. Zresztą robotnicy są dobrze płatni, mogą więc sobie pozwalać od czasu do czasu takich przyjemności.

Student nie miałby spokoju gdyby swojej belli nie zaprowadził na pierwsze przedstawienie nowego dramatu.

Więc sadowi się mała czarno-oka, zjada pomarańcze i płacze do woli. Zapas łez całego tygodnia dzisiaj się wylewa.

Niektóre z teatrów paryzkich zaczynają w niedzielę przedstawienie o godzinie w pół do szóstej, a kończą dopiero o północy.

Dramat w 12-16 aktach nie jest wcale rzadkiem zjawiskiem.

Publiczność jest nadzwyczaj zajętą osnową sztuki, a że nierozdziela złudzenia od prawdy i wszystkiemu wierzy, to też przyklaskuje nie roli, lecz samemu aktorowi.

Gdy się ukaże bohatyr przyjmują go silne oklaski. Tak nazwany czarny charakter usłyszy często na przywitanie nie najprzyjemniejsze komplementa. Widzowie oburzają się jego podłością, a jeżeli ta za daleko jest posunięta grożą pięściami, obrzucając go groźnemi przekleństwy.

Podczas sceny otrucia, słyszano głos z galeryi do nieszczęśliwej ofiary wystósowany: „na miłość boską nie pij pan tego! to trucizna!!

Udający zręcznie zamordowanego, taki obudził zapał, że cały teatr trząsł się od krzyku: da capo.

Ważną choć nie znaczną rolę w takich teatrach odgrywają klakiery.

Klakier jest zawsze czułym i pobłażającym, śmieje się z każdego dowcipu, co chwila powtarza, „*tres bien, charmant!*“— klaszcze, woła brawo, brawissimo, da capo, oburza się na zdrajców, wzdycha w tragicznych scenach, ma na zawołanie i bicie serca i gorzkie łzy. Często nawet mdleje.

Dziwna rzecz, że ta nieznośna sekta najwięcej szerzy się we Francyi i pomimo usiłowania wytępioną być nie może.

Do nieprzyjemności teatrów paryskich możnaby także policzyć natrętne pytania i wykrzykniki tak nazwanych *łożmajstrów* szpekulujących wypożyczaniem lorynetek, przechowywaniem lasek, paletotów i t. p.

Wiadomości Literackie.

Po upływie 14—17 lat od pierwszego wydania, pojawiło się drugie wydanie (Tom I 1857. T. II 1858. T. III 1860 roku Lipsk. Księgarnia Michelsena) dzieła (poświęconego gospodyniom polskim): *Dwór Wiejski* przez *Karolinę z Potockich Nakwaską*. Cena 4 talary pruskie. (Ta cena położona na każdym tomie.)

Tom pierwszy zawiera „Dom wiejski.“ Tom drugi zawiera „Kuchnią wiejską.“ Tom trzeci „Rady i przepisy.“

Pomysł szanownej autorki jest dobry, a nawet tyle ważny, że do przeprowadzenia więcej wymaga zdolności, aniżeli ich się zwykle spodziewać można po jednym autorze, a tem mniej po jednej autorce. Nie dziw więc, że pani Nakwaska zbyt trudnemu zadaniu nie mogła w zupełności podołać i nie podołała. Ma dwór wiejski trzy strony: moralną gospodarską i lekarską.— Strona moralna, dzieła jest zupełnie nienaganną, a przynajmniej taką, że dozwala, aby dwór wiejski mógł się znajdować w każdym zacnym domu. Strona gospodarska jest za słabą, a lekarska może nawet być szkodliwą.

Co do dwóch pierwszych wyrzekliśmy własne zdanie, co do ostatniej powtórzyliśmy zdanie biegłych lekarzy.

Gdy jednakże szanowna autorka w przedmowie do pierwszego tomu (stron. X.) wyznaje, że ją *tylko doszły (z kraju) pochlebne głosy, że nie jedna zagroda na wzór dworu wiejskiego została urządzona, że nie jeden barszcz podług Nakwaskiej się przysposabia:* toć za niedostateczność drugiego wydania dworu wiejskiego już mniej należy winić samą autorkę, a niżeli krytykę, lub tę okoliczność, że nie mamy pisma, któreby się wyłącznie zajmowało krytyką poważną, a do wzrostu wszystkich gałęzi literatury ojczystej, tak nieodbicie potrzebną.

Pismo nasze nie może się zajmować obszernemi krytykami zwłaszcza pism mniej wpływowych, a dzieło pani Nakwaskiej zasługuje ze względu na pożytkową ważność przedmiotu na krytykę tak obszerną że ta mogłaby zająć $^1/_4$ w rocznym biegu naszego pisma. Uczynimy zatem w przyszłości, co będzie w naszej mocy, i co nam wolno będzie za naszę powinność poczytać.

Opracujemy mianowicie kilka artykułów znajdujących się w dworze wiejskim, artykułów dla ogółu szanownych naszych czytelniczek pożądańszych, i te zamieścimy w Niewieście. Jeżeli inne dzienniki, każdy ze swego stanowiska, podobnie uczynią, natenczas wolno nam będzie spodziewać się trzeciego wydania *Dworu wiejskiego* i już takiego, że dzieło stanie się niezaprzeczenie podręczną książką każdej gospodyni. Nie odrazu Kraków zbadowany i dzieła, równie ściśle naukowe, jak i praktycznej dążności, tylko długiem usiłowaniem i łącznemi siłami dochodzą do możliwej doskonałości. Pani Nakwaskiej należy się wdzięczność za to, że miała dosyć śmiałości do podjęcia ważnej pracy, którą w pewnej przynajmniej cząstce rzetelnie wykonała.

—1.—

W roku 1860 wyszło w Krakowie piąte poprawne wydanie „Niewiasty“ Walerego Wielogłowsktego. Dziełko to nie wielkich wprawdzie rozmiarów, szacowne jest jednakże i prawdziwie na to rozpowszechnienie, jakiego doznało, zasługujące. Obszerniej o niem mówiono już w „Czasie“, przy pojawieniu się jego pierwszego wydania; autor z uwag w przychylnej sobie recenzyi korzystając, porobił też stósowne odmiany. Ostatni szczególniej rozdział, jak wyraża się w przedmowie do piątego wydania, oburzył przeciwko *niemu* niektóre, ze ślicznych jego czytelniczek, i wywołał dotkliwy zarzut, jakoby się miał gorszyć ich pobożnością. Wyjaśnia więc tę wątpliwość, pochodzącą zapewne z niedobrego zrozumienia jego myśli — i na odparcie tego zarzutu wyznaje, że dla szczerej pobożności niewiast ma najwyższą cześć i szacunek, a wolałby się wyrzec i pisma i druku jak je od powinności chrześciańskiej odwieść. — Ależ *pobożność* a *nabożność* nie jedno znaczą. Pobożność zawiera w sobie całe życie wedle Boga urządzone, i jest czynem po bożej woli, a *nabożnośé* jest raczej środkiem czyli *wyrazem*, którego dusza w swych zewnętrznych objawach używa i uczucia swoje względem Boga tłumaczy.

Dziełko to, na prawdziwych zasadach religii chrześciańskiej oparte, napisane z uczuciem najlepszych ch-ci i myśli, rozbiera niemal wszystkie ważniejsze kwestye, życia i powołania niewiast, się dotyczące. Dowcip, owa cecha właściwa wszystkich utworów W. Wielogłowskiego, i tutaj nie małą gra rolę — daruje mi jednakże szanowny autor, gdy powiem, że ten dowcip w dziełku takiem, jak „Niewiasta“ mającem wpłynąć moralnie na nasze rodaczki, najmniej jest wpływowym. Największa prawda, staje się tylko pół prawdą, gdy ją autor przelewa w przekonanie czytelnika formą okraszoną humorem i dowcipem. — W żarcie pół prawdy — to stare przysłowie — odwróciwszy je pokaże się także— iż prawda żartobliwie wypowiedziana staje się tylko jakoby pół prawdą.

Całe to dziełko, które z obowiązku naszym czytelniczkom polecamy, zawiera w sobie odpowiedź na ważne wielce zapytanie, które sobie autor zadaje na str. 15. Jakie są powody, odwodzące niewiasty z drogi ich przeznaczeń. Odpowiedź ta składa się z 8 artykułów. Temi są: 1 Wcześne rozwijanie władz umysłu, z zaniedbaniem wykształcenia części duchownej i wychowania serca. 2 Czytanie dzieł bez wyboru i zastósowania. 3 Wczesne za granicę podróże i oderwanie od krajowego gniazda. 4 Udział w polityce i sądzie o sprawach publicznych. 5 Zaniedbanie nauki i uprawy robót ręcznych. 6 Wpływ świata i mody. Tą odpowiedzią, zadanie rozwiązanem jest całkowicie. Nie możemy tu rozbierać całej tej pracy, poprzestajemy tylko na określeniu jej wartości ogólnem. Przytoczyć jednakże musim piękny bardzo ustęp ze str. 41, w którym autor doprasza się naszych niewiast aby do ręcznych powracały robót; mówi on: „Od czasu, jak niewiasta pogardziła igłą i szydełkiem, ręka jej stała się mniej cenną, a mężczyźni, zamiast ją uwielbiać, potrząsają nią na znak powitania jak mniej użytecznym sprzętam. Wstawiam się przeto najuprzejmiej za pracą ręczną a razem i za ręką niewiasty, i proszę dla niej o średniowieczny szacunek. Ta ręka chociaż zaleniwiała, nie jedną jeszcze łzę otrze nie j dnę bliznę opatrzy, i nie jednę chmurę trosków z czoła męża lubem pogłaśnieniem rozpędzi. Ona w Sakramentalnym ślubie wspólność prac i znaczenie ciężarów życia zaręcza, ona pokolenie kołysze, i ona niechaj nam w chwili skonu oczy zamknie, a potem niech nam ją z nieba w wyproszonym ratunku poda, abyśmy z mąk czyszczowych rychlej wywiedzeni byli.“ Piękne to słowa! Zbawienna odezwa!

Stanowisko religijne, z którego autor na powołanie niewiasty się zapatruje, jest niezawodnie najwłaściwszem. Niewiasty nasze przejęte temi prawdami, które w tem dziełku zostały im podane, spełniłyby serdeczną wolę autora, którą sam na końcu tak wyzaża: „Pragnę, aby jako Marya zgniotła głowę węża, tak też niewiasty nasze zdeptały grzech tego świata, przywary wieku i wybryki mody, a stanąwszy przed Bogiem czyste w duchu, silne pokorą, potężne modlitwą, sobie chwałę niebios, a i nam leniwszym w służbie bożej najemnikom, wyjednały zbawienie.

⊙ Fotografia zastąpić ma sztukę malarstwa. Rzecz to trudna i niepodobna nawet. Proste naśladowanie natury nie jest sztuką; miałożby nią być proste kopiowanie, którem się fotografia dotychczas bawiła?

Czy fotografia nie może się wznieść, a przynajmniej zbliżyć do sztuki? Może — odpowiadam, wyższemi celami i trafnem użyciem mechanicznych środków. Tego mamy już dowody w usiłowaniu (krakowianina) p. Rzewuskiego, odznaczającego się niezawodnie między fotografami tutejszymi, uszlachetnieniem mechanizmu i przybliżeniem tegoż aż do samych granic sztuki.

Pan Rzewuski ma uczucie artysty, więc sam cel, który sobie wytknął, podnosi już fotografię do znacznej sztuki. Przyklaśnie niezawodnie każdy młodemu pracownikowi w winnicy pańskiej, ktokolwiek przypatrzy się jego fotograficznym tworom a mianowicie zdjęciu obrazu z wielkiego ołtarza Wita-Stwosza (w kościele Panny Maryi w Krakowie); oddaniu skulptur znajdujących się w katedrze wawelskiej jako to: grobowca Kazimierza Wielkiego, którego lekkość architektoniczna unosi się ku niebu, Władysława Jagiełły — i przyklaśnie panu Rzewuskiemu, ktokolwiek przypatrzy się zdjęciu posągu Włodzimierza Potockiego, tego znakomitego dzieła arcy-mistrza dłuta-Torwaldsena.

Powinniśmy się spodziewać, że fotograf-artysta pragnienia coraz większej a większej zasługi, pokąd żyw nie ugasi.

⊙ Z przyjemnością wyczytaliśmy w Gazecie Codziennej (warszawskiej) między nowinami, doniesienie o panu Pfeifrze, który uduje się obecnie do Kielc, zkąd za 10 dni do Krakowa już przecie powróci. Zwiększająca się coraz długość jesiennych wieczorów dawała nam już uczuć brak teatru; cieszymy się więc, że nie zadługo ujrzymy na naszej scenie znane i ulubione nam towarzystwo. A spodziewamy się na ten rok wiele dobrego. Dyrektorem orkiestry jest pan Walenty Szlagórski znany i zasłużony w Krakowie. Przedstawień ma bywać w tygodniu cztery, o jakiejś operetce także mówią, sztuk kilka nowych już przygotowano, (wodwill ma być dany „Wiesław“ przerobiony z Sielanki Kazimierza Brodzińskiego przez Krystyna Ostrowskiego) i mamy mieć nowych artystów, których p. Pfeifer w swej podróży zaangażował.

Cieszy nas to bardzo, że pan Pfeifer stara się i przyciąga do siebie talenta z tak dalekich stron wolno nam też dla tego spodziewać się, że i bliższe Krakowa (a dobre) znajdą w jego towarzystwie przyjęcie.

Korespondencya

od redakcyi.

P. hr. w O — (Zborów). Dziękujemy serdecznie za współczucie ku naszemu pismu, zapewniając, iż udzielone nam rady nie zostaną bez skutku. Dałby Bóg, aby słowa szanownego korrespondenta, pocieszające nas że nasze pismo: „*Popierane być musi przez rodziców dbających o wykształcenie i ubarwienie serc młodych...!* — ziściły się, staraniem naszem będzie zasłużyć sobie na podobną opinię w całym kraju.

Niewiasta wychodzi w Krakowie co Poniedziałek w objętości jednego do półtora arkusza druku.

Prenumerata w miejscu wynosi:

Rocznie	6	Złr.	—	cent.	w. a.
Półrocznie	3	„	—	„	„
Kwartalnie	1	„	50	„	„
Miesięcznie	—	„	50	„	„

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	7	Zł.	20	cent.	w. a.
Półrocznie	3	„	60	„	„
Kwartalnie	1	„	80	„	„
Miesięcznie	—	„	60	„	„

Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku złr. 4 c. 20 w. a. wynoszącą) w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się. „Niewiasta“ wychodzi cotydzień.

Pieniądze prenumeracyjne należy przesyłać **franko „do Redakcyi Niewiasty w Krakowie“.**

Miejscowi Prenumeranci mogą zamawiać tygodnik w księgarni F. Baumgardtena w głównym Rynku.

Inseraty odpowiednie naszemu dziennikowi przyjmują się za opłatą od wiersza petytowego 7 centów oprócz 30 c. na opłatę stęplową za każdorazowe umieszczenie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca, **Antoni Rother.**